

Kazimierz Rosiński

Data: 3.01.1981 r. 89

Red. Literacka

Godz.: 16.05 - 17.30

Główny Urząd Kontroli Prasy
i Informacji Publikacji
Dział: ...
M I E J S C A P T A S I E
uaktualnienie na wykonanie
...
Wzrost ... /fragment powieści/
Data 21.50 Podpis ...

Którejś niedzieli dziewczyny na świetlicy wrywały sobie gazetę, wreszcie jedna z nich wskoczyła na krzesło i zaczęła czytać. Było to chyba coś o morzu, zapamiętał koniec: "Wiatr twój wpada o świecie przez otwarte okno i szarpie, szarpie niwinne firanki". Od razu domyślił się, że to wiersz profesora Julka, i gdy dziewczyny wyszły na obiad, ukradkiem zajrzał do poszarpanej gazety. Autorem wiersza był Juliusz Szemkel. Nigdy przedtem nie słyszał nazwiska bibliotekarza i teraz powtarzał je szeptem. Wydawało się dziwne, przy pierwszej sylabie nabrzemiawało z szelestem jak bańka mydlana, a przy drugiej zanikało z pyknięciem na głosce "k". Nie przeczytał wiersza, obawiał, że ktoś go podpatrzy, a wydawało mu się, że śmiechy dziewczyn dotyczyły również jego. Miał z tego powodu wyrzuty sumienia i następnego dnia zdecydował się sięgnąć po gazetę, ale w drewnianej oprawce był już inny, poniedziałkowy numer.

Do środę a często w sobotę po kolacji mijał uczniowski sklepik w rogu hallu i schodził do sutereny. Na końcu niskiego

korytarza widywał czasami palacza. Gdy pewnego razu zastał kłódkę na drzwiach biblioteki, ten człowiek nocy nie potrafił sobie odmówić satysfakcji zakomunikowania czegoś nieprzyjemnego.

- Ni ma go - mruknął niepytany i odprowadził Pawła spojrzeniem osoby, którą wybito ze snu.

Parę razy widział tam kobietę przychodzącą do palacza. Twarz miała, podobnie jak mężczyzna, niemytą i bez wyrazu, chociaż wydawała się całkiem młoda. Zresztą oboje robili wrażenie ludzi w nieokreślonym wieku, zacządziałych od wyciewów koksu i od niedobrego ciepła żeliwnego pieca. Nikłe pasemka tych oparów snuły się między regałami w piwnicznym powietrzu biblioteki. Profesor Julek twierdził, że niedobre ciepło z kotłowni powstaje na skutek innego niż przy ogrzewaniu piecami kaflowymi jonizowaniu się powietrza.

Gdy byli sami, bibliotekarz częstował go mocną i cierpką herbatą zaparzaną w szklance i wdawał się z nim w rozmowę. Z początku Paweł obawiał się, by profesor Julek nie zaczął mówić o swoich wierszach, bo wydawało mu się, że wówczas i on będzie musiał coś powiedzieć, a naprawdę nie ~~wiedział~~ wiedział, co wypada. Poza tym nie dowierzał, by ten emerytowany nauczyciel mógł być prawdziwym poetą. Ale profesor Julek najczęściej

mówił o książkach i czasami były to dość dziwne opowieści.

- Wszystko to - powiedział kiedyś wskazując na regały - napisano w samotności. Wyobraź sobie świecę w lichtarzu, która gdzieś w kącie obszernej komnaty rozjaśnia bladą twarz, kartkę papieru, białą dłoń trzymającą gęsie pióro. Człowiek unosi głowę i patrzy w ciemności przed siebie, a potem zapisuje, szepcząc coś pośpiesznie. Kiedy czytam, czasami słyszę ten szept, dochodzi do mnie przez czarne przestrzenie. Historia, chłopcze, narzuca nam mimochodem fałszywe wyobrażenie czasu. Widzimy w dziennym świetle obrazy sprzed stu a nawet tysiąca lat. Ale przecież w czasie ludzi, których nie ma, nie ma słonecznego światła, trwają tam nieprzeniknione ciemności. To stamtąd dochodzą te pośpieszne szepty i szelesty piór trących o chropowaty papier.

Po jakimś czasie profesor Julek zaproponował, by Paweł został jego pomocnikiem. Od tej pory Paweł starał się go wyręczać, ale roboty było niewiele, najważniejszą, podklejanie i obkładanie książek wykonywał bibliotekarz w domu, dokąd za każdym razem taszczył wypchaną teczkę. Paweł pomyślał, że teraz jemu wypada nosić te książki i odtąd razem wychodzili z biblioteki.

Każde przejście przez dolny korytarz i wyjście z sutereny były próbą dla rozbudzonej wśród książek nadziei na istnienie ~~xx~~ jakiejś innej rzeczywistości. Najpierw wchodzili w strefę ługowatych wyziewów z kotłowni i Paweł zaczynał podejrzewać, że szczególny nastrój biblioteki jest tylko wynikiem oszołomienia. Kiedy ^w na hallu dziewczyny zagadywały profesora Julka ze śmiałością, która wydawała się zbyt wyzywająca, a ten wdawał się z nimi w ryzykowne żarty, Paweł zaczynał się lękać, by nie odsłonił się zanadto i nie zdradził swej tajemnicy, którą tak łatwo wyszydzić. Bał się o to, ^{by} znał arogancję swoich rówieśników. Któregoś dnia zaczepił go Ignaszewski: "Co ten stary tak ciebie przygarnął, może on pedał?" Paweł nie bardzo wiedział, co to znaczy, ale zrozumiał, że dla jego kolegów przebywanie z profesorem Julkiem jest podejrzane. Pewnie uśmiechają się ironicznie, gdy widzą, jak taszczy za starym tekę wypchaną książkami.

Uspokajał się dopiero na dworze, wdychając mroźne powietrze, od którego mijały resztki mdłości po herbacie. Aleją między jesionami wychodzili na otwarte pola, gdzie szeleścił sypki śnieg i świszczały badyle na miedzach. Nad nimi sunęły chmury o brzegach rozjaśnionych księżycowym blaskiem.

Profesor Julek był wysoki i chudy, kroki stawiał długie i niepewne, w wietrzne dni gwał się przy silniejszych powiewach. Wydawało się, że na ziemi utrzymują go tylko solidne, narciarskie buty, które jednak były zbyt śliskie. Pewnego razu Paweł nie zdażył go podtrzymać i profesor Julek upadł. Nie zrobił sobie żadnej krzywdy, nie spadł nawet kapelusz mocno wciśnięty na głowę okręconą szalikiem, tylko te twarde buciory narobiły hałasu.

Profesor Julek dbał o swoje gardło. Długim szalem owijał najpierw głowę, potem szyję, a końcem szala zasłaniał usta. Tak opatulony nie mógł mówić, zachęcał więc Pawła, by opowiadał o sobie. Gdy milczenie się przeciągało, odwaracał się tyłem do wiatru, odsłaniał usta i pytał: "No, a co tam w klasie?". A potem pomrukiwał na znak, że słucha.

Droga zaczynała schodzić w dół. Najpierw wyłaniały się sylwety domu z gankiem i ogromnego pudła stodoły. Wyrывał się stamtąd kundel czarny jak noc, sunął nisko po śniegu i dopiero na parę kroków przed nimi zaczynał ujadać. Profesor Julek nie zwracał na to uwagi, ale Paweł nie wytrzymał nerwowo, osłaniał się teczką, sięgał po grudy lodu, co doprowadzało psa do hysterii i odstępował od nich dopiero na dnie Zimnego

Dołu, gdzie zatrzymywali się przed krytym dachówką domkiem. Tutaj wyczuwało się zastygły ziąb, inny niż na polach, bardziej przenikliwy. Sad za domkiem szumiał odległe. Czasami słychać było kilka dźwięków układających się w naiwną, wyblakłą na wietrze melodyjkę.

Oddawał teczkę bibliotekarzowi, odchodził kawałek i czekał aż to się powtórzy. Podejrzewał, że ulega złudzeniu. Mógł to być tylko pojedynczy świst wiatru, który przy tej chatce przenikniętej na wskroś tępym mrozem przywoływał mu w pamięcie urywek piosenki słyszanej dawno temu, może tylko we śnie. Widział błysk zapalniczki, a potem przygarbiony cień starego bibliotekarza niosącego lampę. Na brzegach pokrytych szronem szyb wiatr wywiał łysinki, widocznie okna były nieszczelne.

Po powrocie nie mógł zasnąć, długo zachowywał w sobie tkliwość rozbudzoną paroma niewyraźnymi dźwiękami. Gdy jednak próbował powtórzyć ten strzęp melodii, okazywało się, że nic nie pamięta.

W rok później pod koniec października wracał z domu do internatu. Za dębowym laskiem zszedł w Zimny Dół, skąd otwierał się

widok na łąki z kępami olch. Zawsze wyczuwał tam chłód, ale podejrzewał, że to może być tylko sugestia. Jak zawsze w tym miejscu zwolnił, nadsłuchując i przyglądając się domkowi.

Za każdym razem dostrzegał jakąś rzecz przedtem nie zauważoną, blaszanego kogucika na dachu, kępę marcinków przy rynnie, które właśnie kwitły chłodno niebiesko.

Nikły domek prószył z komina. Zdecydował się zajrzeć do profesora. Na blacie kuchennym pomrukiwał czajnik, ale nikogo nie było. Wszedł na podwórze. Zza szopy dochodził szmer rozmowy. Na środku sadu profesor z rękami - jak to miał w zwyczaju - założonymi do tyłu rozmawiał z barczystym mężczyzną w niebieskim płaszczu i aksamitnym berecie. W pewnej chwili wykonał nieokreślony ruch ręką i, ujrzawszy Pawła, urwał w pół słowa.

- To mój pomocnik, o którym ci już wspominałem - powiedział do nieznanego.

Nieznanomy wydawał się czekać na dalszy ciąg opowieści, wpatrując się w czubki butów, do których lepiły się listki i źdźbła trawy. Spojrzał wreszcie na profesora Julka, po czym zakreślił łuk podobny do tego, jaki przed chwilą wykonał stary. Dłoń miał mocną, nieskazitelnie czystą, na ~~piachu~~ palcu grubą obrączkę.

- Ja tu nie widzę żadnego sensu - powiedział, spodziewając się zapewne, że tym sprowokuje rozmówcę.

Doszli do końca sadu i zatrzymali się przed polem młodego żyta o różowawych źdźbłach.

- Jeśli zaś jest sens - ciągnął dalej - to nie jest to sens jednego gatunku. Bo niby dlaczego? Czyżby tylko dlatego, że niektóre osobniki uwolnione od naturalnych powinności pozwalają sobie na luksus fantazjowania?

Zawrócili w stronę domu.

- Mówisz: brak świadczy o obecności. To mistyka. Jesteś historykiem i wiesz, że bywały różne, jak to nazwałeś, sensy. Ale zanikły i to w okolicznościach nader prozaicznych, głównie zaś dlatego, że w pewnej chwili okazały się nieskuteczne. Czy z tego nie należy wyciągnąć wniosku, że liczy się sama skuteczność?

Nieznamy najwyraźniej zrezygnował z prób wyciągnięcia starego w rozmowę. Zatrzymał się przy jabłoni. Wśród resztek liści dojrzał małe guzowate jabłuszko, zerwał je, wytarł w białą chusteczkę i skosztował.

- Świetne! - zdziwił się.

- Te ostatnie są najsmaczniejsze - powiedział profesor.

- Urodzaj był? - nieznajomy wskazał na podpórę potrzynującą nadłamany konar.

- Ależ skądże! Wichura. Ten sad już jest tak stary, że prawie nie owocuje.

Nieznajomy daleko odrzucił ogryzek. Starannie wytarł chusteczką usta i palce.

- Lecz jeśli już komuś ten sens jest niezbędny, to trzeba go wymyśleć. Tobie wyda się to żalosne, a dla mnie jest to przedsięwzięcie heroiczne.

Paweł miał nadzieję, że profesor Julek jakoś na to zareaguje, ale on, zapatrzony przed siebie, zdawał się myśleć o czym innym. "Być może on już swoje powiedział" - pomyślał Paweł.

Minęli szopę i znaleźli się na podwórzu. Naraz nieznajomy przystanął, nadśluchiwał. Paweł też słyszał nagle dźwięki, układające się w początek naiwnej melodyjki. Profesor Julek roześmiał się.

- To kogucik - powiedział wskazując na dach. - Zamontował go pewien ludowy poeta, kiedy mnie nie było w domu. Przez kilka dni zachodziłem w głowę, co mi tu tak wygrywa. Rzecz polega na tym, że kogucik obraca się, a nie ustawia do wiatru.

U dołujest pozytywka, kilka blaszek zaledwie.

Ziębnięci weszli do domu. Czajnik gotował się jeszcze.

Nieznajomy ogrzewał ręce przy palenisku.

- Tak to ja rozumiem. A co ty na to?

- Cóż ja? Zastanawiam się tylko, po co jeszcze piszesz wiersze?

- Mówią, że potrzebne, rozwijają wyobraźnię ... Nie wiem dlaczego. To są ziarna z dawnych epok, jak te znalezione w piramidach. W naszym chłodnym czasie wschodzą, kwitną, lecz owocu nie wydają. Zresztą nikt już na to nie liczy.

Nieznajomy czuł się tu swobodnie. Wyjął z kredensu szklankę i obejrzał ją dokładnie pod światło. Potem nabrał w nią trochę wody z wiadra i mył dwoma palcami. Gruba obrączka pobrzękiwała o szkło.

Profesor Julek wypytywał Pawła o szkołę, interesowało go, co czyta. Ale on ostatnio nie nie czytał, a przy tym był skrepowany obecnością tego barczystego człowieka, od którego bił chłód obcości.

Kiedy już stamtąd wyszedł na drobny, jesienny deszcz, uświadomił sobie, że gdyby miał dość odwagi, byłby w stanie zrozumieć to, co usłyszał.